



Nr. 19. *Z dnia 1 listopada 1903 r.*

NAD MORSKIEM OKIEM.

Nessun maggior dolore che ricordari...

Nad „Morskiem“ cisza jakaś uroczysta... księżyc wychylił się z za grzbietów Żabiego, oblał światłem granitowe turnie i patrzył w ciemną toń jeziora. Czasem rybka poruszyła wodę i lekkie na niej zatoczyła kręgi. Czasem zakwiliła gdzieś w granitach ptaszyna i znów cisza... Wszystko błyszczało srebrem i lśniło księżycową poświatą, niby wystrojona świątynia. „Mnich“ jeno w szary kaptur się otulił, jakby wieczorne pacierze w tym kościele odmawiał. Były chwile, że kaptur odchylił i na kościół spojrzał, jakby do nabożeństwa się gotował i patrzył, czy ludzi już dosyć...

Na skale było dwoje ludzi... ręce ich splecione, ich głowy do siebie się tulą, a oczy zapatrzone w dal... Po chwili on przemówił cicho:

Tu nasz ślub, tu gody nasze!
Tam za nami, kędy groby ojców naszych
na brzozowych śpią smętarzach,
kędy dzwonki z wieży płaczą,
kędy krzyżów takie mnóstwo,
gdzie u ludzi jad żmijowy,
ludzkie prawa Boże gwałcą;
tam nam nie żyć!...
Tam tak smutno!...
A tu patrz!
Wśród srebrnego wieńca szczytów
po lazurach pląsać będziem,
baca zagra pieśń godową,
pieśni nasze tu sprowadzi
i ze skrzypek je wyśpiewa;
tu zadzwonią nam dzwoneczki,
co nad stawem się kołyszą,
Żółcieniami nam usypią drogę szczęścia
wodne duchy...
Mnich nam stułą ręce zwiąże —
marsz weselny nam zagrają wichry halne —
toni fale nas utulą
i polecim razem wiecznie
ku tym wzgórzom, kędy jasno
już nam będzie!...“

Ukląkł — płonące czoło ku białym dłoniom pochylił, a płacz rozdzierał mu piersi. — Po chwili znów zaczął:

„Jam tu zdążał w to ustronie
i sokole rozwiał skrzydła,
porzuciłem ciche strzechy,
co w wiśniowych drzemią sadach;
porzuciłem wzgórza moje
kędy sosen ciemne bory
szumią tęskno, grają tęskno,
by organy w podniesienie...
jam porzucił i ruczaje
co słuchały moich fletni;
stare prochy ojców kości
i tom rzucił!...
a leciałem w te granity,
bom na niwach mych ojczystych
spokój stracił!...
Jam Cię widział wszędy...
Tyś na łąkach wiła wianki,
Tyś w potoku była perłach;
Fale zboża mi śpiewały
Twoje śpiewki rozmarzone;
Jam żył Tobą a bez Ciebie!...

Dodatek bezpłatny do „Głosu Narodu“ z dnia 1 Listopada 1903 r.

Takie życie jestże życiem?...
Gdy wieczorem dzwonek wzywał
lud roboczy na pacierze,
jam uklęknął, ręce składał
z Tobą w myśli...
kiedym słyszał swojską nutę,
to mi było jakoś tęskno,
bom Cię nie miał koło siebie;
we mglem widział twoją postać...
Ja płakałem, gdy znikały te srebrzyste wód opary,
Czyż ja mogłem żyć bez Ciebie,
Gdy mi wszystko było obce:
Bóg i ludzie i te w świecie cuda Boże?
Myśl o tobie wytłoczyła z mózgu myśli,
a tęsknota wypaliła roje pragnień...
Jam oddychał i żył Tobą!...
Do dnam duszę moją zmierzył,
Obce myśli z niej wyplenił
i dziś jedno mi zostało:
Żyć lub nie żyć byle z tobą!

Skończył — źrenice wpił w siedzącą postać, jakby ją niemi chciał przepalić. — Ona zsunęła się na kolana — klęczeli... Mnich ze mgły siną głowę wychylił, ku górze ją podniósł, jakby woli Bożej szukał i zaczął:

„Ty, co Twory na miłości zawiasach umocniłeś [Boże!
Spojrzyj na serc tych cierpienie i bóle
Miłość je splotła...
Jak powój z dębem splotła Twoja wszechmoc,
Tak i te serca związała moc Twoja,
Święty po trzykroć o Twej woli znaki prosim [Panie!“

Skończył modlitwy, a w szuwarach dzwonki i rybich główek krocie, zółcienie i fale na jeziora topieli i ptaszyna ukryta w rozpadlinach skały i szare ściany i smereki i limby — wszystko powtórzyło głos błagalny: „Prosim Panie!“

Mnich głowę pochylił, w szarą chmurę się odział i znów nastała cisza uroczysta, tylko księżyc srebrem rzucał...

Wyszedł stary baca, skrzypki otarł, struny nastroił, głowę pochylił i smykiem pociągnął. Zajęczało drewno — popłynęła śpiewka ku dolinom, przeleciała górskie szczyty i wróciła znowu echem, rzewna, tęskna...

Zamilkło echo, a po falach płynęły uroczyste słowa przysięgi: „A iż cię nie opuszczę aż do śmierci!...“

. . . .

Nazajutrz znaleziono przy brzegu, kędy topiel największa, dwa ciała splecione w kurczowym uścisku. Na jednej twarzy widniał uśmiech szczęścia, na drugiej wyraz tęsknoty. U niego znaleziono na piersi zaszytą grudkę czarnej ziemi i ryngraf z głową kobiety, a u niej gałązkę bylicy i zwiędły kwiat wodnej róży.

„Pewnikiem byli od polskich stron“, zauważył jeden z baców.

Wzięli ciała juhasy, na marach je złożyli, zielem górskiem i drzew gałązkami okryli, a wykopawszy ciupagami w skale grobowiec, na wieczny sen je zanieśli. Wędrowiec jakiś „pewnikiem z polskich stron“ krzyżyk na skale wyrzezał i te słowa pod krzyżykiem umieścił: „Szczęście jako lilja polna i kwiat padolny“.

Dr. B.

BRATNIA POMOC.

Nieustanna praca i młodzieńcza energia Zarządu Pomocy bratniej nie pozostała bez skutku. Nie polepszyły się wprawdzie wydatnie finanse Towarzystwa, były chwile kiedy naprawdę ręce opadały i naradzano się nad zamknięciem domu zdrowia, ale zdołano wreszcie przełamać mur obojętności społeczeństwa, i zyskano doniosłe obietnice na przyszłość. Korzystając z uroczystego otworzenia Sanatorjum Dra Dłuskiego, w którem uczestniczyli naczelnicy najwyższych władz krajowych, Dr Żychoń zaprosił ówczesnego namiestnika hr. Pinińskiego i marszałka hr. Andrzeja Potockiego, Protomedyka i wiele innych wybitniejszych osobistości, do obejrzenia lecznicy akademickiej. Zwiedzający zdumieni byli doskonałością urządzeń, a przekonawszy się osobiście o konieczności instytucyi obiecali jej pomoc i poparcie. Wydział krajowy opłaca corocznie kilkanaście miejsc dla niezamożnych, chorych na gruźlicę w ludowym Sanatorjum Alland pod Wiedniem. Na przedstawienia Dr. Żychonia zgodził się Wydział dawać zapomogi wynoszące 30 fl. miesięcznie tym chorym z Galicji, którzy-by byli przyjęci przez Pomoc bratnią, a mieli warunki potrzebne do ubiegania się o bezpłatne miejce w sanatorjum allandzkiem. Sejm i w tym roku nie uwzględnił petycji Tow. o zapomogę — ale podanie Pomocy było przynajmniej rozpatrywane przez Komisję specjalną, która odrzucenie petycji motywowała wielkimi wydatkami na zapomogi z powodu powodzi i pożarów — i przyobiecała pomoc na rok przyszły. Domem zdrowia zaopiekowało się wreszcie Tow. Nauczycieli szkół wyższych, które przystąpiło do Towarz. jako członek założyciel, i postanowiło zachęcać młodzież gimnazjalną do zbierania składek, tak aby w razie potrzeby uczniowie mogli spłacać koszta leczenia za niezamożnego kolegę, przyjętego do zdrowia bratniej Pomocy.

W roku ubiegłym Zarząd Tow. powziął kilka

bardzo doniosłych uchwał, które nie zmieniając idei założycieli Pomocy, okazały się wskutkach bardzo praktycznymi. Obarczeni długiem wynoszącym około 6 tysięcy koron, zarządzający musieli zwrócić przedewszystkiem uwagę na sanację finansową Tow. Obostrzono zezwolenie wystawiania rewersów przez niezamożnych chorych, postanawiając, że w zasadzie przyjęci będą tylko ci pensjonarjusze, którzy są w możności opłacać 100 koron miesięcznie. Rygor ten poskutkował, tak że gdy w pierwszych latach opłaciła młodzież lecząca się rewersów 73 procent ogólnej należytości, w tym roku wpłacono rewersów tylko 50 procent. Niema tu mowy o utrudnieniu przyjęć, a zarzuty takowe czynione Tow. przez niechętnych, są zupełnie bezpodstawne. Nawet po wprowadzeniu w życie powyższej uchwały, nie pozbawiono pomocy, nikogo ze zgłaszających się. Zarząd postarał się, aby potrzebujący kuracji w Zakopanem, a nie mający żadnych środków, otrzymywali pomoc materjalną skąd inąd, i aby w ten sposób mogli uiszczać wymagane opłaty. Zainicjowano w poszczególnych miastach uniwersyteckich zawiązywanie się „grup młodzieży", które-by Tow. zjednywały członków, i starały się pośrednio lub bezpośrednio o pomoc finansową dla niezamożnych kolegów chorych na gruźlicę. Dzięki oparciu się o „grupy", towarzystwa akademickie udzielały rzeczywiście członkom swoim pożyczki i zapomogi na koszta leczenia się w Pomocy Bratniej. Grup takich zawiązało się dotychczas 5. Najszerzej rozgałęziona grupa zakordonowa zasila fundusz Tow. kwotą 2.500 kor. We Lwowie zawiązały się dwie grupy: grupa techników (dochód 300 kor.) i grupa Czytelni akademickiej. Bardziej wydatnej pomocy spodziewało się Tow. od świeżo założonej, a doskonale zorganizowanej grupy przy „Zjednoczeniu Towarzystw młodzieży polskiej za granicą".

Grupa krakowska usiłuje przeprowadzić układy z istniejącym w Krakowie komitetem, zbierającym fundusze na sanatorjum dla młodzieży krakowskiej w Zakopanem, proponując połączenie wysiłków prowadzących do jednego celu i zlanie funduszów. Dotychczas jednak Komitet krakowski zajmuje stanowisko odporne. Układy są bezpłodne, a cierpi na tem ostateczny cel Tow. bratniej Pomocy, założenie własnego sanatorjum, dla chorej młodzieży. Równolegle bowiem z prowadzeniem pensjonatów w domach najętych, borykając się z tysiącznymi trudnościami, zarząd pomocy nie traci z oka przewodnej idei ufundowania domu, którego młodzież byłaby właścicielem i gospodarzem. Wynikiem konferencji przeprowadzonej z inżynierami i lekarzami było ułożenie kosztorysu, który dosięga do sumy 250 tysięcy koron. Jest to wydatek tak znaczny, dla szczupłych sił finansowych Towarzystwa, że przeprowadzenie zamiaru do skutku, wydaje się prawie niemożliwem. A jednak fundusz przeznaczony na ten cel, urósł z tysiąca koron (w. r. 1892) do poważnej kwoty 12 tysięcy. Stało się to głównie dzięki szczodrobliwości ś. p. Józefa Bergera, krakowianina który na budowę sanatorjum pozostawił zapis w sumie 8 tysięcy koron. Od 12 tysięcy do uzbierania 250 tysięcy bardzo daleka droga — a jednak Towarzystwo nie traci nadzieji, że ten stan rzeczy się zmieni. Dużo do tego pomódzby mogło porozumienie z Komitetem krakowskiej młodzieży, która rozporządza kwotą prawie tak samo wysoką, największa jednak nadzieja w ofiarności serc szlachetnych. Na dobrodziejach Tow. niezbywa. Jak w roku minionym opiekowała się Pomocą bratnią p. Brzozowska, tak w roku bież. znalazło Tow. gorliwą pomoc w hr. Maryi z Górskich Sobańskiej. Pani ta nietylko wspomagała kasę Tow. znacznym datkiem, ale także rozpowszechniając ideę Pomocy bratniej w szerokiem kole znajomych przysporzyła Tow. wielu członków, założycieli.

Wykaz datków jednorazowych, wyszczególnionych w sprawozdaniu Pomocy za rok 1903, wykazuje poważną sumę 6 tysięcy koron. Złożyły się na nią oprócz licznych drobnych datków następujące kwoty: zebrane przez Pomoc bratnią 1500 kor, krakowskie kółko rolników 750 kor. Pacjenci Sanatorjum Dra Dłuskiego 600 kor. Redakcja Kurjera Warszawskiego 400 kor. Hr. Dzieduszycki 300 kor. PP. Makarewicz 125 kor., Kochanowski 300 kor. Pani Nikorowiczowa 100 kor., Sobańska 300 kor., Ciszewska 100 kor., Krasnopolska 200 kor., Morynowska 250 kor., Z. Sz. 300 kor., Stankiewiczówna 130 kor.

Również hojnie posypały się datki na budowę Domu Zdrowia, a w wykazie, w pierwszej rubryce widnieje zebrane przez Kurjer Warszawski 1.000 kor. W roku bieżącym zapisało się do Tow. 24 nowych członków założycieli z wkładką po 200 kor. i 43 członków wspierających z wkładką po 20 kor., i 106 nowych członków zwyczajnych.

Omawiając stan funduszów Towarzystwa, rok bieżący można nazwać pomyślnym. Większa agitacja, założenie grup, utworzenie komitetów w różnych miastach sprawiło, że sprawozdanie wykazuje znaczny wzrost dochodów.

W r. 1902 ogólny dochód wynosił 11.300 K. — w roku obecnym 30 tysięcy koron. Dochody zatem prawie się potroiły. Nie będziemy tu omawiać poszczególnych pozycyj bilansu, nadmienić jednak wypada, że cały prawie majątek Tow. jest złożony w rewersach, które na razie nie przedstawiają wartości. Rachunek zysków i strat udowadnia, że Tow. mogłoby się dopiero wtedy normalnie rozwijać, gdyby wszyscy pensjonarjusze mogli opłacać po 100 K. miesięcznie.

Ciekawem jest także sprawozdanie gospodarza Pomocy Bratniej p. Aleksandra Litwinowicza, który jest sekretarzem Towarzystwa a w zarządzaniu całą instytucją, prawą ręką dra Józefa Żychonia. Utrzymanie jednego pensjonarjusza kosztowało miesięcznie 152 K., leczenie 18 K., razem 170 K. miesięcznie. Znaczny ten koszt tłumaczy się z jednej strony sławną drożyzną Zakopanego, z drugiej zaś niewielką liczbą pensjonarjuszy (najmniej 11, najwięcej 16). Brak funduszów nie pozwala na zwiększenie liczby pensjonarjuszów, a rachunek wykazuje, że gdyby można było podnieść liczbę leczących się do 35, to koszt utrzymania spadłby do 140 miesięcznie.

Administracja Domu zdrowia składa się z lekarza asystenta, którego funkcję pełni dr. Władysław Zenczykowski, gospodarza (p. Litwinowicz) i gospodyni. Personal służbowy z felczera, lokaja, pokojowej, kucharki i służącej. Pensjonarjusze przebyli r. b. w Domu zdrowia ogółem 4.650 dni, a koszt

prowadzenia domu wraz z leczeniem wyniósł 26.824 K. Rachunek administracji Tow. doszedł sumy 1.505 K.

Wyniki leczenia osiągnięte w Pomocy Bratniej musi się nazwać bardzo korzystnymi. Oprócz Dra Żychonia, który czuwa nad kierunkiem leczenia, chorych ma w swojej opiece lakarz-asystent mieszkający stale w pensjonacie Pomocy, Dr. Żenczykowski. Bada on chorych wraz z naczelnym lekarzem, zapisuje obserwacje, pilnuje aby wszystkie zlecenia jego były przez pacjentów wykonywane, zasiada zniemi do jedzenia, odwiedza kuchnie, bada produkta spożywcze. Dzięki tej pilnej opiece u 24 pensjonarjuszy (to znaczy u 56%), lekarze stwierdzili po pobycie w Pomocy bratniej zupełne wyzdrowienie lub też znaczną poprawę, u 13 (30%) stan choroby pozostał bez zmiany, a tylko w 5 wypadkach (11%) nastąpiło pogorszenie. Jeden był wypadek śmierci. Bardzo ostrożnym musi być zarząd w przyjmowaniu pacjentów. Klimat Zakopiański nie dla wszystkich postaci gruźlicy odpowiedni jest i leczący. Stany bardziej zaawansowane nie znoszą tutejszego ostrego powietrza. Aby więc nie narażać na trud przyjeżdżania tych, których Zakopane nie może uzdrowić, aby uwolnić się od balastu nieuleczenia chorych, Zarząd przedsięwziął bardzo szczegółowe i dobrze pomyślane środki ostrożności. W każdym z większych miast uniwersyteckich, jak naprzykład w Warszawie (Dr. Erbrich), w Krakowie (Dr. Różecki), we Lwowie (Dr. Rencki), towarzystwo ma lekarzy, którzy rozumiejąc intencje Pomocy bratniej, badają pacjentów zgłaszających się do Tow. i wydają odpowiednie świadectwa, stwierdzając czy chory ze względu na stan zdrowia ma szukać pomocy w Zakopanem, czy nie. Oczywiście nie znaczy to, aby chory mieszkający na prowincji musiał jechać koniecznie do jednego z tych miast po świadectwo, gdyż i świadectwa lekarzy prowincjonalnych są przez Zarząd w równej mierze uwzględniane. Manipulacja ta niema na celu utrudniania przyjęcia do Domu Zdrowia, przeciwnie ułatwia i upraszcza porozumienie się między Zarządem a potrzebującymi pomocy.

Nie przewidując szybkiego rozwoju Domu zdrowia, zarząd wynajmował w roku zeszłym jeden dom za drugim z musu i konieczności, nie bacząc na odpowiednie ich położenie, a zważając tylko, aby nie daleko były od siebie oddalone. Nie ma'ąc innego wyjścia zgrupowano trzy obecnie zajęte domy zbyt blisko krzyżujących się głównych arteryj komunikacyjnych Zakopanego (Chramcówki-Nowotarska).

Mimo usiłowań nie zdołano jeszcze dotychczas zwinąć tych prowizorycznych pensjonatów i pomieścić Dom zdrowia w jednym obszernym, dobrze pod względem hygienicznym położonym domu. Zarząd traktował o wynajęcie na ten cel willi Szałas, ale układy nie przyszły do skutku z powodu wygórowanej kwoty żądanego czynszu. Za najem obecnych trzech domków Pomoc płaci 1.300 fl., a czynsz za Szałas wynosi 4.000 fl. Nie odważono się na tak znaczny wydatek.

Z opieki Pomocy Bratniej, korzysta w obecnej chwili 18 młodzieńców. W liczbie tej znajduje się ośmiu gimnazjalistów (z Warszawy 6, ze Lwowa 1, z Krakowa 1), trzech słuchaczy uniwersytetu (Kraków 1, Lwów 1, Petersburg 1), sześciu studentów politechniki (Warszawa 1, Kijów 1, Petersburg 1, Lwów 3) i jeden uczeń agronomji (Dublany). Zbytecznem jest chyba dodawać, że wszelka polityka jest z Pomocy najzupełniej wykluczoną, że żadnych odcieni przekonania nie są tu gorzej lub lepiej widziane, że o przyjęciu rozstrzyga jedynie istotna potrzeba leczenia.

Oto w krótkim zarysie historja rozwoju i obecny stan towarzystwa tego, które zawiązane szlachetną inicjatywą jednostek, dotychczas jeszcze opiera się prawie wyłącznie na niespożytej energji i pracy jednostek. Społeczeństwo przekonane o konieczności Pomocy Bratniej, powinno jej przyjść z rychłą i wydatną pomocą. Nie dość jest jednak na możnych i bogatych protektorach — sprawę Pomocy powinna przedewszystkiem wziąć w ręce młodzież, cała młodzież gimnazjalna i uniwersytecka, krzątać się około zakładania grup, wpisywać się na członków zwyczajnych, (opłata 2 korony rocznie) a wtedy stanie potężna instytucja koleżeńska stworzona przez młodzież — dla młodzieży. Na stokach Gubałówki powstanie wygodny rozległy dom z napisem: Pomoc Bratnia — Sanatorjum młodzieży polskiej — w której znajdą zdrowie setki uczących się, którzy stargali siły w walce z niedostatkiem.

KORESPONDENCYA.

Zakopane 31.

Znowu upłynęło siedm dni wspaniałych, pełnych słońca. Tydzień ubiegły, najpogodniejszy w całym bieżącym miesiącu, rozruszał Zakopane na dobre. Każdy pragnął raz jeszcze przed ustaleniem się pogody zimowej nacieszyć oczy widokiem cichych rozsłonecznionych dolin.

Na dalsze wycieczki na szczyty, ba — nawet do podróży naszych wirchów nie szedł nikt, ulegając ustalonemu tu przekonaniu, że gdy śnieg przyprószy Tatry, są one niedostępne. Ruch turystyczny ogranicza się w naszych górach jedynie na miesiące letnie i ustaje raptownie z końcem „sezonu“. Czasem po tym czasie zabłąka się w Zakopanem jakiś wędrowiec z wielkim kijem alpejskim, ale to Węgier lub Niemiec, który przyszedł z tamtej strony. Patrzą tu na niego mniej więcej jak na dziwoląga.

Szukać w Zakopanem w jesieni lub zimie turystów, którzyby się wdzierali na ośnieżone szczyty, byłoby nonsensem. Zostają tu na tę porę ludzie przeważnie chorzy, którzy z konieczności

muszą ograniczyć swoje spacery do dolin, wznoszących się łagodnie od Zakopanego. Dziwnem jest jednak, że nikt z prawdziwych turystów polskich, którzy jeżdżą w Alpy, aby szukać emocji na tamtejszych szczytach, nie weźmie tej sprawy w ręce, i nieudostępni gór, pokrytych śniegiem przez zbadanie warunków, w których wycieczki zimowe są możliwe, przez wdrożenie górali do podobnych wypraw, przez wprowadzenie w użycie koniecznych przyrządów turystycznych alpejskich i t. d. Godne to trudu, pracy i bardzo szlachetne zadanie. Nasza turystyka jeszcze bardzo nierozwinięta. Nad przekonaniem ogółu panuje „Przewodnik Eliasza“, książka, zawierająca wskazówki dla kobiet i ludzi chorych. Nie wielu, dajmy na to, da się przekonać, że Eliasz oblicza godziny drogi podwójnie, tak, że w czasie oznaczonym przez niego na dojście do danego szczytu, można wygodnie dojść i wrócić do Zakopanego.

Przewodnicy miejscowości, z wyjątkiem chyba klimka Bachledy, nie są turystami. W lecie chodzą chętnie i z zamiłowaniem, ale unikają gór w szacie zimowej i wolą się na podobne trudy nie narażać. Zresztą nie można w tej kwestji szukać u nich inicjatywy. Nie mają oni ani czasu ani pieniędzy na podobne zabawy. Odwagi naszym góralom i doświadczenia nie brak, i z pewnością, gdyby tylko zachęta, wytworzyliby pośród siebie szereg śmiałych i dzielnych przewodników-turystów. O ile wiem dotychczas dwa razy tylko próbowano przejść przez Tatry w zimie. Pierwszym był p. Jan Grzegórzewski, który d. 20 stycznia 1894 r. przeszedł przez Zawrat do Morskiego Oka w towarzystwie dwóch pań i dwóch panów.

Szło z nimi kilku górali, a wyprawę prowadził znakomity przewodnik Bartek Obrochta. Rozpoczęto drogę o g. 7 wieczorem, nocowano przy szałasach Sąsiewicowych. Dnia 21 stycznia o godz. 4-tej popołudniu dosięgła wyprawa Zawratu. Nocowano w szałasie przy pięciu Stawach. Dnia 22-go stycznia o godz. 4-tej popołudniu doszli turyści do Morskiego Oka. Droga cała trwała więc dwa dni bez trzech godzin. Nie świetny ten rezultat przypisać należy w pierwszym rzędzie krępującemu towarzystwu pań.

Druga wyprawa odbyła się w lutym r. 1895. Wzięło w niej udział trzech mężczyzn i trzech górali, pod przewodnictwem Klimka Bachledy. Drogę wybrano tę samą co Grzegorzewski, i przybyto przez Zawrat do Morskiego Oka w ciągu 27 godzin to jest jednym dniem od 5-tej z rana do 8-mej wieczorem.

Obie wyprawy odbyły się bez żadnego wypadku. P. Grzegorzewski opisał swoją w Almanachu Tatrzańskim za rok 1894/5, wyprawy drugiej nie opisano. Na tem ograniczyły się, jak się zdaje, zimowe wyprawy w Tatry. A szkoda, bardzo wielka szkoda. Górskie widoki zimowe są tak wspaniałe, że w tysiąckroć opłacają trudy, i pozostawiają na całe życie niezatarte wrażenia.

Dwóch moich znajomych wybrało się onegdaj na przechadzkę do Czarnego stawu. Wrócili rozradowani i szczęśliwi. Z przełęczy między Kopami rozciąga się wspaniały widok na doliny Kuźnicką i Zakopiańską, wesołe, pstre od czerwonych domków, a z drugiej na ośnieżoną halę Gąsienicową i majestatyczne szczyty Kościelca i Świnicy. Przy Czarnym Stawie łomot wody spienionej na ostrych granitach, i cudowna gra jasnoszmaragdowej barwy, — łamiącej się w srebrne fale.

Gór nie trzeba się bać. Gdy się jest dobrze zaopatrzonym od zimna, gdy się obliczyło dobrze swoje siły, i roztropnie wybrało — można iść pewnie i śmiało. Strasznem jest jednak błądzenie w górach, niebezpieczną każda, chociażby najbłahsza wycieczka nierozważnie podjęta.

Kto cokolwiek zna Tatry, wie jak łatwą, jak dziecinną jest wycieczka na „Łysanki“, górę rozdzielającą dolinę Strążyską od doliny Za Bramką. Niewinne te Łysanki dużo napędziły strachu nieopatrznemu towarzystwu, które zachęcone wspaniałem słońcem, poczęło się pewnego dnia o godzinie czwartej po południu wspinać na nie z doliny Strążyskiej, aby podziwiać stąd zachód słońca. O godzinie 5-tej dosiągnięto szczytu. Dolina zakopiańska ginęła w mroku, Giewont czerwienił się jeszcze słońcem, ale wnet wysunął się księżyc, rozbłysnęły gwiazdy, i zapadła szybko chłodna noc. Ogrzano się trochę przy ognisku, i poczęto prędko schodzić z góry ku dolinie Za Bramką, a w nadziei, że wkrótce znajdą się wszyscy u siebie. Ścieżka dość zresztą wygodna, ponaznaczana kolorami przez Tow. tatrzańskie, wije się stąd stromą serpentyną ku dolinie. Dla skrócenia drogi ominięto serpentynę, i poczęto schodzić wprost na przełaj. Od chwili porzucenia ścieżki, rozpoczęła się niefortunna Odyseja turystów, którzy dopiero po pięciogodzinnem błądzeniu po ciemnym lesie, wyczerpani na siłach, zdołali odnaleść ścieżkę i około 12 w nocy powrócili do Zakopanego. Nie będę tu opisywał mozolnych usiłowań dojścia do doliny łożyskiem potoku, bezcelowego wdzierania się na skały i głazy, omamień jakie sprawiał księżyc oświecający jasno nieliczne polanki, niebezpiecznych upadków — dość, że gdy towarzystwo to późno nocą dotarło do Płonki, podrapane ich ręce i twarze, podarte ubrania, sprawiały widok napół śmieszny, napół godny pożałowania. W pustej prawie sali restauracyjnej Płonka grał z towarzyszami w preferansa, a gdy partnerzy jęgo, zdziwieni niezwykłym obrazem w tłaczających się turystów wydali okrzyk zdumienia, Płonka korzystając z roztargnienia partnerów — zapowiedział „Siedm karo“ — i wygrał. Potem dopiero podszedł uśmiechnięty do gości i poustawiał baterję flaszek i szklanek, w tem przeświadczeniu, że wszędzie dobrze, ale przecie u Płonki najwygodniej.

Mój przyjaciel Dziudzio.

Nowela ALBERTUSA.

Mój przyjaciel Dziudzio Niedopytalski dużo miał wrogów, którzy niejeden raz stawiali rozmaite trudne do usunięcia przedmioty na poprzek drogi jego żywota; wśród wrogów tych zaś był jeden, szczególnie zawzięty i niezmordowany, który przyjacielowi mojemu szkodził literalnie na każdym kroku, nie dawał mu nigdy pardonu i był przyczyną całego szeregu klęsk i niepowodzeń; nieprzyjacielem tym był — on sam Dziudzio. Nie on jeden z pewnością z takim wrogiem miał do czynienia — jest ich, takich panów, co sami kopią wzdłuż własnej ścieżki życiowej wilcze doły, cała rasa. Ale Dziudzio w tej rasie był, jeżeli nie osobnym gatunkiem to z pewnością osobnym rodzajem choćby dlatego, że wszystko, co robił, a więc i wilcze doły na ścieżce swojej, robił z jakąś wysoką maestrją, lekkością, dokładnością, niemal genjalnie...

Ileż to ja razy, mój Boże, podziwiałem Dziudzia, ileż razy mu zazdrościłem!

Nasza bliższa znajomość zaczęła się od tego (charakterystycznego, jak się później pokazało, faktu), iż Dziudziowi było potrzeba gwałtownie pilnie pięciu rubli. Miałem wtedy akurat sześć rubli w kieszeni. Dałem przeto Dziudziowi, ile właśnie potrzebował. W ten wieczór zamieniliśmy dużo poglądów, dowcipów, komplementów nawet między sobą i doszło aż do początków zwierzeń. Rozstałem się z Dziudziem uszczęśliwiony z tej znajomości, pod wyraźnym jego urokiem i rad ogromnie, żem tak czarującemu chłopcu mógł wyświadczyć na wstępie drobną przysługę. Nie widziałem go potem przez pięć coś miesięcy, w ciągu których, z początku zwłaszcza, nieraz mi było za nim tęskno.

Dzięki przypadkowi dopiero zetknęliśmy się znowu — dzięki takiemu mianowicie przypadkowi, iż ja, nic o tem nie wiedząc, nowe moje mieszkanie kawalerskie wynająłem na tem samem czwartem piętrze gdzie mieszkał i Dziudzio.

To już nas zbliżyło na dobre...

Jednak nie ostatecznie.

Potrzeba było jeszcze dużo czasu, zanim stosunek nasz stanął na tej stopie otwartości i miejscu zabezpieczonem od nieporozumień, na jakiem dziś stoi.

Dziudzio, aczkolwiek taki miły i gładki, nie był wcale łatwy do zbliżenia się. Jak wszystkie natury wybitne, indywidualne, mocne, pragnął on zawsze panować nad każdym stosunkiem, jakoż i faktycznie panował. Zbliżał się on więc do tego lub owego z bliźnich wtedy i o tyle, gdy sam tego chciał i o ile uważał to za stosowne. Gdy zaś tego nie chciał, to nie tylko, że się nie zbliżał, ale nie pozwolił i bliźniemu zbliżyć się do siebie. Doznałem tego na sobie nie raz jeden. Dziudzio przez długi czas wydawał mi się nieobliczonym i może kto inny nazwałby go fantastą w stosunkach osobistych jego. Ja jednak posiadałem jakiś instynkt, który mówił mi, iż u tak rozumnego i inteligentnego jak Dziudzio chłopca, ta ciągła zmiana formy w stosunku do mnie (a niezawodnie i do innych) nie może być grą samych tylko kaprysów i musi posiadać tłómaczenie swoje w dających się uchwycić i określić okolicznościach,

A zmiany tej formy były doprawdy rażące.

Już to przychodzi on do mnie dzień po dniu, całemi tygodniami, na wieczorną herbatę i serdelki, jest swobodny, przyjacielski, wywnętrzający się, interesujący się tem, co ja myślę, robię, piszę... Zawiązujemy wtedy dysputy, sprzeczamy się, przekonywamy — i nieraz nas świt o bladej twarzy wypędza do łóżek. To znowu ja opowiadam Dziudziowi moje klęski sercowe, a on mi o swoich miłosnych tryumfach prawi, i razem usiłujemy, podwójne doświadczenia składając na kupę, powiedzieć coś nowego a ostatecznego o tem utrapieniu ludzkości, noszącem słodką nazwę kobiety...

Już to Dziudzio zupełnie znika mi z oczu. Napróżno pukam do niego o jedenastej i dwunastej w nocy — jeszcze go niema. Napróżno usiłuję go złapać w rannych godzinach — już go niema, albo śpi, albo wcale nie wrócił na noc. Zostawiam mu na biurku jego kartki z prośbą, aby wpadł do mnie. Ani jego, ani odpowiedzi. I tak znowu tygodniami.

Już to wreszcie widuję go od czasu do czasu, ale jakby to nie był Dziudzio. Chłodny, wstrzemięźliwy, małomówny, nic się nie zwierzający, a nawet opryskliwy, gdy go o coś intymniejszego zapytać. Jakby obrażony był. Albo znowu wprost jakby niechętny, szorstki i prawie niegrzeczny, tak zupełnie, jak gdyby miał do czynienia z intruzem, któremu należy dać nauczkę. Jakbym mu jaką krzywdę zrobił. Ale jeszcze niedbały, o sobie mówiący dość chętnie, ale już mną nic się nie interesujący, przystępny niby, ale zarazem lekceważący...

Wszystkiego tego przez długi, długi czas nie umiałem zebrać w kupę.

— Czem był Dziudzio? — pytacie.

Odpowiedź bardzo a bardzo niełatwa. Wyjątkowy ten chłopiec mógł być wszystkiem, czemby chciał być. Nie widziałem umysłu, z równą łatwością ogarniającego całe dziedziny, przyswajającego sobie równie małym kosztem równie wielkie mnóstwo wszelakich substancyj intelektualnych. Od niego samego naprzykład zależało, aby być pierwszorzędnym dziennikarzem; miał w piórze ogromną łatwość, swadę i dowcip. Jako kryminalista zarabiałby setki tysięcy; tak płynnie potrafił mówić, tak głos umiał modulować, dając raz więcej, drugi raz mniej dźwięku i zdolny do otworzenia twardego nawet serca potokiem słów gorących, podniosłych, serdecznych. W każdej instytucji bankowej musianoby go zrobić dyrektorem, taki był bystry, taki był lotny i taki był czwany. Ot, raz napisał okolicznościową jednoaktówkę

dla teatru amatorskiego dla kuzynki, w której się kochał... Doprawdy powiadam wam, że gdyby nie zadużo tej okoliczności, drobiazg ten byłby perełką, o którejby się w historji literatury mówiło. Taki był szelma genjalny.

Dlaczego nie wybrał sobie żadnej z tych dróg, które mu już to jego patent prawnika, już to kolosalne uzdolnienie otwierało naoścież?

Nigdym tego nie mógł zrozumieć.

O ile jednak trudno zrozumieć dziwną naturę Dziudzia byłem w stanie, brakło mu jednej rzeczy, którąby dary jego wyjątkowe zamieniła na wysoko procentujące kapitały. Cierpliwości nie posiadał. Czekać nie umiał. Świąteczny i fetyczny spektakl życia zbyt mocno oddziaływał na jego zmysły, zbyt silnie przemawiał do jego wyobraźni. Dziudzio bał się, aby na widowisko to nie zapadła w tej chwili kurtyna, a jemu kazano wyjść z widowni na zimną i ciemną ulicę. Bujna jego natura szła cała w kierunku użycia. Użycia tego pożądał zbyt namiętnie, aby módz się przyczaić, zaopatrzyć, przygotować.

Cóż więc robił Dziudzio, aby żyć?

Uprawiał sztukę pożyczania pieniędzy od znajomych i przyjaciół, pompował cudze kieszenie. Wydawało mu się to najkrótszą drogą do pozyskania środków.

Raz, drugi, trzeci musiał on to uczynić z potrzeby, pod wpływem konieczności i niezawodnie z sercem, napełnionem goryczą. Że był wszechstronnie zdolny, udać to mu się musiało, może nadspodziewanie. To go znowu zdemoralizowało. Doświadczenie, częściej powtarzane, coraz mniej go kosztowało; z drugiej strony — nabył wprawy, która wszędzie gra swoją rolę, posiadł tajniki specyalności. Przy swej genjalności dojście do wirtuozostwa było dla niego prostą kwestją czasu.

Długo nie byłem w stanie zrozumieć jego postępowania, ale raz pojąwszy — stał się on dla mnie przezroczystym, jakby był ulany ze szkła.

Kiedy teraz przychodził wypijać moją herbatę i zjadać moje serdelki, łasić się do mnie, pytać co piszę i interesować damą mojego serca — wiedziałem, że niema ani grosza w kieszeni. Gdy przestawał być szczególnie miły, ale zachowywał poufność i pozwalał się często widywać, rozumiałem, że jest w okresie pompowania takich jak ja chudeuszów na sumy od rubla do dziesięciu. Gdy robił się szorstkim i niemiłym, rozumiałem, iż ma coś poważniejszego na widoku. Mając w kieszeni od dwudziestu pięciu rubli, Dziudzio stawał się już niemożliwy; każda moja uwaga drażniła go, każde pytanie uważał za niedyskretne wdzieranie się w cudze interesy i mówił ze mną najchętniej o koniecznej jego potrzebie zabrania się do pracy — „raz nareszcie“ — i o jego pociągu do samotności, która „pogłębia myśli i oczyszcza serca“... Nareszcie gdy mu się udała jaka mistrzowska operacja — napróżno-bym usiłował obejrzeć jego oblicze.

Że mi nie brakło sposobności do bliższego obserwowania Dziudzia, doszedłem wkrótce do takiej wprawy na punkcie znajomości jego natury, iż wystarczył mi jeden rzut oka na twarz jego, posłyszenie jednego jego do mnie zwróconego słowa, aby natychmiast z dużą dokładnością powiedzieć: ile on ma w tej chwili pieniędzy w kieszeni.

Jak on praktykował swoje rzemiosło?

Wiedziałem to — na samym sobie sprawdziwszy. Był to *charmeur,* ten Dziudzio, w całym blasku. Nic mu nie brakło, aby módz czarować — miał sympatyczną powierzchowność, inteligencję obszerną a giętką, dowcip miły i częsty. Miał jeszcze tę żądzę użycia, która czyniła z niego miłego i dodającego apetytu kompana przy nakrytym stoliku — z lubieżnością wciągał w siebie woń potraw, śmiał się z pewną dziecinną i miłą naiwnością do pełnych kieliszków; patrząc w twarz ładnej dziewczyny, zapamiętywał się zupełnie. Ale mało tego: Dziudzio posiadał jeszcze dziwnie delikatne poczucie subtelności uczuć, które mu pozwalały z jednej strony nie urazić nikogo w słabą stronę, nie uczynić nikomu mimowolnej nawet przykrości, uszanować w pewnych ludziach niektóre dziwactwa serca, lub tylko nerwów, z drugiej strony dyktowało mu zawsze właściwy moment do wsadzenia ręki w cudzy pugilares.

Ten proceder wymagał nowych ciągle stosunków... I cóż?! Dziudzio robił je, ciągle nowe.

Parę ich nawet uczynił mi przed nosem, w moim pokoju, przy mojem pośrednictwie.

Raz czy dwa chciałem zapobiedz złemu — i nie udało mi się — taki był gałgan, genjalny...

Pewnego razu wchodzi Dziudzio naprzykład do mnie, wchodzi uśmiechnięty, słodki i mocno ściska dłoń moją. Myślę sobie: „Aha! ma teraz mniej jak pół rubla w kieszeni“. Licho nadało, że wchodzi jednocześnie prawie mój kuzyn, wieśniak, agronom, wielki koniarz. Musiałem ich przedstawić sobie. Dziudzio siedzi ciągle przy naszej rozmowie. Myślę sobie: przeczekuje koniarza, czyżby miał jeszcze złudzenia co do mnie?

Wstaje wreszcie koniarz i żegna się.

— W którą stronę pan idzie? — pyta go Dziudzio.

— Do hotelu Saskiego.

— Ja idę także w tamte strony. Pójdziemy razem.

Byłem nieubrany, Inaczejbym nie puścił ich tak we dwóch. Ale popołudniu zaraz wpadam do mojego koniarza i ostrzegam go:

— Ty się miej na baczności przed tym Dziudziem; on żyje z tego tylko, co kogo naciągnie.

Koniarz dziwi się.

— Patrzaj... A taki miły.,.

— Właśnie, właśnie...

Pokręcił głową.

— Dziękuję ci żeś mnie ostrzegł.

W trzy dni potem przyłazi koniarz do mnie. Jakiś nieswój Kręci, kręci, ale widzę, że chce zapytać, kiedy Dziudzio w domu bywa.

Patrzę mu bystro w oczy.

On — spuszcza głowę.

— Dziubnął cię? — pytam.

Wzdycha.

— A dziubnął...

— Dużo?

— Pięćdziesiąt rubli.

— No, to podziękuj mu, że nie sto...

Ale co tu długo gadać... Ostatni raz widziałem się z Dziudziem półtora roku temu. Już nie mieszkaliśmy oddawna na jednem piętrze. Ucieszył się

ogromnie, gdyśmy, po długiej przerwie, spotkali się przypadkiem w teatrze, i zaprosił mnie do Stępka na kolację. Zdziwiłem się bardzo. Do kolacji kazał podać butelkę Mumma.

— Cóż to, zbogaciłeś się? — pytam.

— Jakbyś wiedział — odpowiada z uśmiechem, Ale kiedy podano nam czarną kawę i koniak, Dziudzio staje się bardzo poważny i mówi mi:

— Nie mój drogi, nie zbogaciłem się, bo i na czemże miałbym się zbogacić? Na wyłudzaniu pieniędzy od tych, co mojej uczciwej minie i mojemu fałszywemu słowu zawierzyli? Ale spotkało mnie coś lepszego, niżli bogactwo samo. Poznałem kobietę piękną, wolną i szlachetną, której wszelkiemi siłami duszy pragnąłbym stać sie godnym, biorę się więc do pracy — do prostej, ciężkiej, zwykłej, uczciwej pracy... Ach! żebyś ty wiedział, jakiego ja nabrałem wstrętu do siebie samego w ostatnich czasach...

Przerwałem mu:

— Dziudziu! twoja ręka! — zawołałem.

Spojrzał mi w oczy z odbłyskiem jakiejś rzewnej wdzięczności i podał mi swoją szeroką dłoń.

Uścisnąłem ją serdecznie.

— Tak, ja wiem, żeś ty mnie znał — ciągnął — ty jeden znałeś mnie na wylot. I doprawdy, nie mogę mieć do ciebie pretensyi, żeś mnie nie lubił, żeś mną nawet..

Chwilkę się zawahał, ale wykrztusił:

— ...Pogardzał...

Zaprotestowałem skonfundowany.

— Dziudziu! co ty pleciesz?

— Byłby co najmniej szczególne — odpowiedział — gdybyś mnie szanował. Ale teraz *aus*! Zamknięta zła epoka mojego życia. Jestem odrodzony.

Umilkł. Potem wykrzywił boleśnie usta.

— Tak... odrodzony... W sobie... Ale czy mi przeszłość daruje?

— Dlaczego nie miałaby ci darować? — powiadam.

— Dlaczego? Bom winien. Bo trzeba za winy odpokutować — i zwykle odpokutywać trzeba ponad winy. Mój drogi, boję się jednego. Czy mi teraz ludzie nie każą dźwigać kuli u nogi nazawsze. Co chcesz? Nie jest to wcale gatunek anioła — ten człowiek...

Począłem się zapalać. Bronić ludzi. Wskazywać na ich większość. Prawić o wpływie czasu dobroczynnego, wyrównywującego nie takie góry i doły...

Dziudzio był ciągle pognębiony jednak. Chciałby wierzyć moim słowom, ale nie mógł im wierzyć, niestety...

Dolewał mi koniaku z ponurą miną.

Ja piłem ciągle nowe kieliszki, rozgrzewając się coraz bardziej.

— Jak to można być takim pesymistą, Dziudziu! — gromiłem go.

I perorowałem:

— Dziudziu! Dziudziu! pamiętaj, że świat należy do tych, co mu rozumnie wierzą... Niewiara nic jeszcze nie zbudowała...

— Niewiara — szepnął gorzko.

I wyjął z pugilaresu jakiś biały papier.

— Co to? — pytam.

— Co to?! zaraz ci powiem. Od czego ja odrodzenie moje mogę zacząć? Od pracy? Cóż mam robić? Otworzyć kancelarję adwokacką, prawda? Nie otworzę jej przecież na trzeciem piętrze hotelu Europejskiego, gdzie mieszkam, to jasne; trzeba mieszkanie wynająć, coś w niego wstawić. Trzysta rubli by na to wystarczyło. I patrz! od tygodnia chodzę po ludziach z weksklem i nikt nie chce go zażyrować. Ot, ludzie... Jeszcze ci, co nie wiedzą, jak jestem zdolny, mogą wątpić, czy zapłacić zdołam marne trzysta rubli za cztery miesiące. Ale ci co wiedzą ile wart jestem?! Ot, odrodzenie!...

Chwila szlachetnego uniesienia... Wyrywam mu weksel z ręki — odwracam go — podpisuję.

Potem rzucamy sobie w objęcia.

— Przyjacielu!

— Dziudziu drogi!

Po chwili Dziudzio dzwoni energicznie na garsona.

— Jeszcze jednego Mumma — za twoje zdrowie, druhu!

* * *

...Nazajutrz dopiero, po przespanej nocy, poczęły mnie ogarniać wątpliwości. Poszedłem do hotelu Europejskiego raz i drugi. Nie mogłem Dziudzia zastać. Dopiero za trzecim razem otrzymałem od portjera informację pozytywną:

— Wyjechał, proszę pana.

— Co? dokąd?

— Na Riwierę..

No, i 300 rb. musiałem zapłacić w swoim czasie, żeby uniknąć komornika.

Taki to majster był ten Dziudzio. Jak sobie upatrzył wziąć kogoś na cel — to nie było sposobu wywinąć się od niego. Wirtuoz, jednem słowem, dla którego nie istnieją niemożliwości.

Spostrzeżenia meteorologiczne.

	23/10	24/10	25/10	26/10	27/10	28/10	29/10
Termom. such.	9·4	5·9	7·0	11·3	13·7	15·5	11·1
„ wilg.	7·6	5·7	5·9	9·2	11·6	12·5	8·9
Ozon	12	12	13	12	13	13	12
Term. maxim.	35·5	26	26·5	39·9	42·2	42·8	42·0
„ minim.	12	15·9	15·4	11·9	17·0	14.1	12·0
Term. na bar. .	10·8	9·5	11·2	11·8	13·9	14·6	11·8
Barometr . . .	690·0	690·8	699·0	697·7	697·3	695·8	695·9
Kierun. i szyb. wiatru . . .	WWN6	EES 3	SSE 6	SSE 1	WWN6	EES 4	SSE 4
Stop. zachmurz.	9 mgl.	10 mgl.	7 kłęb.	4 kłęb.	0	0	0
Wysok. opadu	0·2	—	—	—	—	0	0
Uwagi	pogod.	deszcz	pogod.	pogod.	pogod.	pogod.	pogod.

Ruch pociągów zakopiańskich.

Odchodzą z Krakowa do Zakopanego: . .	o 9 min. 2 rano o 11 min. 40 wieczór.
Przychodzą do Zakopanego: . .	o 7 min. 5 rano. o 3 min. 30 po poł.
Odchodzą z Zakopanego do Krakowa: . .	o 10 min. 20 rano o 4 min. 35 po poł.
Przychodzą do Krakowa: . .	o 4 min. 40 po poł. o 11 min. 5 wieczór.
Odchodzą z Zakopanego do Lwowa przez N. Sącz i Tarnów: . .	o 10 min. 20 rano.
Przych. do Lwowa: . .	o 2 min. 31 po poł.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Antoni Beaupré.
Druk W. Korneckiego w Krakowie.